

chyliła się na drewniany gzyms i szła po nim tak pewnie, jakby po równym bruku. Jeden fałszywy krok — a runie i roztrzaska się na kamieniach ulicy.

Doszła do słupa, podpierającego wyżej położony balkon i zrećźnie jak kot wyszła po nim na balkon trzeciego piętra, a stamtąd po rynnie na dach. Stała na samym skraju dachu i opuściwszy bezwładnie ręce zapatrzyła się znowu w przyjaźnie uśmiechniętą twarz księżycy. Zaczęła szepać jakieś niezrozumiałe wyrazy i równym krokiem sunęła po stromym prawie dachu, nie zachwiawszy się nawet.

Jakże łatwo mogło się zdarzyć, że trafi na rynnę zepsuta i spadnie! Za minutę ciało jej byłoby leżało w zbitej masie na ziemi!

Doszła na dach drugiego domu i biegnie dalej, wciąż za blaskiem księżycy, który się wznosi coraz wyżej. Tak przeszła może przez pięć domów, aż doszła do budynku, podobnego do willi. Z domem tym nie łączy się żaden inny, bo następny stoi już w oddaleniu kilkudziesięciu metrów. Jeżeli nieszczęśliwa tego nie spostrzeże, to za chwilę będzie już trupem, bo runie w ciemną przepaść.

Skrzyżowała teraz ręce na piersiach. Biała jej nocna koszula lśni złowrogo w poświatli księżycy; długie, czarne włosy rozwiały się jej po ramionach — wygląda jak upiór, który w grobie spokoju znaleźć nie może.

Już doszła na skraj dachu — już spojrzała w ciemną głąb — chwila jeszcze — a runie. Wtem! — Wielki Boże, miej ją w swojej opiece! — teraz musi spaść! Już! Już! — Ale nie. Schyliła się, czepia się rynny, schodzi na gzyms i sunie po nim ze zrećznnością i szaloną śmiałością, która musi krew wzburzyć w każdym, co na to patrzy.

Czy to był przypadek, czy też może świadomy cel, dosyć, że lunatyczka dostała się aż na gzyms pałacu Solmsów i stanęła przed oknem sypialnej komnaty.

Do wspaniałej sypialni hrabiego Parduy spływała potokiem jasna świetl księżycowa. Naraz w oknie pojawił się cień jakiś, tak silny, że hrabia musiał się przebudzić, bo podniósł się na łóżku i jak odrętwiały wpatrzył się w białą postać kobiecą, przechodzącą po gzymsie okna.

— Ilono! — krzyknął — Ilono!

Na drugim łóżku ukazała się prześliczna główka kobieca wśród puchowych poduszek, okolona jaśniejącą aureolą złotych, płomiennym żarem dyszących włosów.

— Jakżeś mnie przestraszył, Robercie! — zawołała — co się stało?

— Widziałeś ją? — bełkotał hrabia, blady, jak trup.

— Kogo? — odparła, a zimny dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

— Kobietę w białej nocnej bieliźnie — wykrztusił — była tu przed oknem — sądziłem z początku, że śnię — ale widziałem ją przecież całkiem dokładnie, jak przesunęła się przed oknem.

— Ach, głupstwo — starała się go uspokoić piękna Ilona — gdyby była przeszła po gzymsie, to musiałaby była spaść do ogrodu — przecież nikt nie jest taki głupi, żeby spadał z pierwszego piętra na ziemię.

— Ale ja dokładnie widziałem całą postać, Ilono — rzekł cichutko — i oglądał się trwożliwie wokoło — czy sądzisz, że umarli mogą jeszcze chodzić po świecie?

Wyskoczyła szybko z łóżka i spuściła gęstą roletę.

— Ha — wstrząsała się i usiadła przy nim na łóżku — ale też ty możesz człowieka strachu nabawić! Kto umarł, ten już nie wstanie, a duchów niema na świecie.

— Ale gdyby Erna, moja żona, którą ty zabici kazaleś, nie mogła w grobie znaleźć spokoju? — wtrącił Robert.

— Nie bądźże taki głupi — burknęła — co się stało, to się nie odstanie; a może już żałujesz, że zgodziłeś się dawniej na mój plan?

— Musiałem się nań zgodzić — odparł ponuro. — Kiedy w dniu, w którym moja żona tak nagle znikła, przyszłaś do mnie i powiedziałaś, że będziesz uchodzić za hrabinę Ernę Pardua, córkę radczyni Solms, aby uratować dla nas jej majątek, stałaś się dla mnie naraz opatrnościowym aniołem, bo mój własny majątek równa się zeru — straciłem wszystko — przegrałem. Kiedyś mi jednak powiedziała, że moja żona umarła, że została zamordowana — opanował mnie wściekły gniew — znienawidziłem cię, chociaż cię tak płomiennie kochałem!

— Ależ Robercie — rzekła Ilona — po jakiego licha zajmujesz się w nocy sprawami, które już

dawno zostały załatwione? Obecnie jestem przeciw hrabinę Ernę Pardua; służbę, która znała twoją żonę, odprawiliśmy natychmiast; jutro zresztą wyjedziemy do Francji i nie wrócimy już nigdy do Niemiec. A może ty mnie już nie kochasz? Może wolałbyś Ernę, aniżeli mnie? — dodała groźnie, a oczy zabłysły jej demonicznym blaskiem.

Podniósł się i objął ją ramieniem.

— Jak ja cię kocham, o tem wiesz nadto dobrze, piękna czarodziejko — rzekł. — Że posłużyłem Ernę Solms jedynie dla jej majątku, to możesz mi wierzyć, bo przecież ona nie może iść w porównanie z twoją szatańską, zaiste, pięknoscią. Ale jutro musimy odjechać. — Zanadto mi tu nie-swojsko, nie dobrze w tym domu!

— W Paryżu znikną troski i kłopoty — odparła śmiejąc się — i cieszy mnie to niewymownie, że właśnie przy twoim boku będę mogła zażywać rozkoszy życia! — kończyła, tuląc się do niego miłośnie.

Zamknął jej usta płomiennym pocałunkiem,



...podniósł się na łóżku i jak odrętwiały wpatrzył się w białą postać kobiecą, przechodzącą po gzymsie okna...

który przedłużał się w nieskończoność. Naraz usta ich rozerwał przeraźliwy krzyk, krzyk śmiertelny, jaki może wydać jedynie konająca istota, krzyk, który się przedarł aż do ich sypialni i krew im zmroził w żyłach.

Lunatyczka dostała się znowu z gzymsu na dach i wracała tą samą drogą, którą przyszła. Twarz jej blada była bladocią trupa. Oczy błyszczały nadziemskim blaskiem, skrzyżowane na piersiach ręce były bezwładne, jakby z białego wykute marmuru. Patrzyła w jaśniejącą tarczę księżycy, nie wiedząc, zdaje się, o niczem, co ją otaczało.

Na dole, po ciemnej, pustej ulicy przechadzała się stara wiedźma, śledząc oczyma każdy ruch lunatyczki i nie spuszczaając z niej wzroku.

Była to stara Wildingowa, właścicielka straszego młyna, która, jak tylko księżyc zeszedł, pośpieszyła ku domowi doktora Stürmera, który jej syn dokładnie opisał.

Czekała już może z godzinę nadaremnie, aż nagle z piersi jej wydarł się głuchy krzyk — przestraszyła się sama, kiedy naraz ujrzała białą, do upiorka podobną postać, wspinającą się po rynnie na dach. Ale opamiętała się wkrótce i śledziła oczyma każdy krok nieszczęśliwej żony swego syna.

Już kilka razy postanawiała zawołać na nią, nagle ujrzała, że lunatyczka stanęła na dachu narożnego domu.

— No, teraz z pewnością spadnie na ulicę — mruknęła — a w takim razie ja nawet zupełnie nie będę winna jej śmierci.

Pomyliła się jednak, bo lunatyczka zesza z dachu po rynnie na gzyms pierwszego piętra pałacu Solmsów, zanim stara zdołała ocknąć się z przerażenia.

— Mogłabym sobie dać po głębie, żem opuściła taką cudowną sposobność sprzątnięcia jej ze świata; diabli wiedzą, czy ona się teraz wróci!

Niezadowolona ze siebie stanęła i czekała, kiedy lunatyczka będzie wracać. Nadzieje jej nie zawiodły, bo nie upłynęło dziesięć minut, kiedy nieszczęśliwa znowu wspięła się na dach i rozpoczęła dalszą nocną wędrówkę.

Jednak tej wiedźmie starej dom, na którym znajdowała się Małgorzata, wydał się za niski. Chciała bowiem zawołać na nią wtedy dopiero, kiedy biedna lunatyczka znajdzie się na dachu najwyższego budynku.

Cisza panowała na ulicy, śmiertelna cisza. Mieszkańcy od dawna już z pewnością spali spokojnie i śnili rozkosznie, nie przeczuwając nawet, że ponad ich głowami unosi się postać niewieścia, której lada chwila grozi śmierć.

Wtem na drugim końcu ulicy ukazał się jakiś mężczyzna.

Był to doktor Stürmer, który wracał właśnie od chorego. Mimowolnie, idąc ulicą, spojrzał w górę i stanął, jak skamieniały. Zobaczył bowiem białe widmo, idące po dachu.

— Jezus, Marya! — zawołał — lunatyczka! — i poszedł w głąb ulicy, nie wiedząc, w jaki sposób mógłby nieszczęśliwej przyjść z pomocą.

Dopiero teraz zauważył starą wiedźmę, która z nieszczęśliwej Małgorzaty oka nie spuszczała.

— Wielki Boże — szeptał doktor — żebyż jeno ta wiedźma nie zawołała przypadkiem na nieszczęśliwą, bo biedaczka runęłaby zaraz na bruk!

Naraz — serce mu bić prawie przestało — zobaczył, że stara powiewa chustką, jak gdyby chciała zwrócić na siebie uwagę lunatyczki, zobaczył, że ma ochotę zawołać na nieszczęśliwą — a on nie mógł temu przeszkodzić.

daleko. Tchu mu zabrakło w piersiach.

— Milcz, kobieto! — zawołał ochryplym głosem — ale już zapóźno.

Stara wiedźma złożyła ręce w trąbkę i zawołała, aż się echem rozbiegł głos po całej ulicy:

— Małgorzato Wilding! Małgorzato Wilding!

W tej chwili spostrzegł, że lunatyczka, jakby na jakiś dziwny rozkaz, stanęła, spojrzała w ciemną głąb, pod nią rozpostartą, wtem — wielki Boże! — wyciągnęła ręce przed siebie, jakby szukając oparcia, zachwiała się i straszny, bólem i rozpaczą drżący krzyk, wydarł się z jej piersi i popłynął jak grom nad ulicą — — — i teraz młody lekarz ujrzał, jak białe widmo pochyliło się, a z krzykiem nieszczęśliwej zmieszał się szatański śmiech starej.

Jednym krokiem znalazł się Stürmer przy wiedźmie i chwycił ją za ramiona.

ROZDZIAŁ XV.

Ucieczka ze straszego młyna.

Z krzykiem odpadła Erna od drzwi, które się nagle do jej izdebki otworzyły. Nie przyszedł, jak się spodziewała jej mąż, aby ją ratować, ale zjawił się jej kat, Jan Barrison. W ręce trzymał ostry, błyszczący sztylet. (C. d. n.)